

Ławeczka Józefa Barana (26)

(Przemysłnik z przełomu wieków)

Fragmenty wybrane przez autora z tomu
dzienników „Stan miłosny przerywany”; PIW 2021



Fot. Roman Mazurkiewicz

18 października

Jeszcze Sztokholm.

Umówiłem się z Leszkiem Szkarłatem. Czeka na stacji Uniwersitet. Zapomniałem, jak wygląda, ale pozostało we mnie uczucie wielkiej sympatii, jaką mnie i moją poezję darzyli z żoną Anną przed laty. Często zapomina się, jak wygląda dana osoba, ale pamięta się długo, czy w jej towarzystwie czuliśmy się dobrze, czy źle. Nad Szkarłatami unosi się w moich wspomnieniach serdeczna aura. Leszek na emeryturze ma czas, ale Ania pracuje, jest wziętym architektem (architektką?), projektowała nawet fragment sztokholmskiego metra. Obydwoje są Polakami, którym powiodło się za granicą, oczywiście za cenę dużego wysiłku. Przyłączyli się do Szwecji na początku lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia. Sprzed lat pamiętam, że Leszek nosił patriarchalną brodę. Ma nadal. Po niej go rozpoznaję i... natychmiast zaczyna opowiadać, a opowiada barwnie. Przez parę godzin przewija się przed moimi oczami film z jego życia przetykany powoływaniem się na moje wiersze (spryciarz wie, że tak mnie można zachęcić do słuchania). Potem przerwa na lunch po włosku w jego mieszkaniu w drogiej dzielnicy, co obwieszcza mi z nutką chępliwości, choć przed chwilą utwierdzał mnie w przekonaniu, że w jego życiu pieniądze nie odgrywały ważnej roli. Pochodzi ze szlachciurów i to widać, i słyhać... W kuchni czuje się jak jego własna żona, a nawet lepiej – przynajmniej tak twierdzi. Jego szlacheccy antenaci lubili sobie dogadzać, on też. Dogadza też mnie. Ukończył w Szwecji odpowiednie kursy i nauczał w szkole klasyki, historii, filozofii. Ma dużą wiedzę na temat historii Sztokholmu i nie tylko, potrafi się nią popisać, co czyni z wielkim zadowoleniem, a ja odgrywam rolę szwedzkich uczniów, których niedawno stracił, idąc na emeryturę; siedzę, podjadam i słucham, od czasu do czasu zadając pytania. Uroczy gawędziarz z bogatą biografią, w którą wyposażony go los lub w którą on wypo-

żył los. Urodził się w lesie – jak mówi – u dziadka, który miał przed wojną wielki majątek ziemski na Litwie, potem w gdzieś u podnóża Gór Świętokrzyskich. Zawodem dziadka było – jak żartobliwie dodaje Leszek – niecierpienie. Ojciec również miał podobne aspiracje, ale nie wyszło mu, bo komuniści rozparcelowali ziemię i rozdali chłopom, więc został dyrektorem na Dolnym Śląsku. Mój rozmówca jako piętnastoletni chłopiec rozstał się z rodziną i wstąpił do zakonu szarych franciszkanów. Tam skończył gimnazjum i szkołę średnią, wstąpił do nowicjatu i przez pięć lat był de facto zakonnikiem. Jednak ponieważ miał za dużo pomysłów innowacyjnych, podpadł zwierzchnikowi i jako dwudziestoletni młodzieniec zrobił sobie roczną przerwę, po której wystąpił z zakonu. Następnie pracował w Ursusie, skończył studia polonistyczne i klasyczne, by w końcu poczuć, że jest mu w tym „socjalistycznym, nie przewietrzanym mieszkaniu duszno”, więc postanowił dać dyla do wolnych krajów. Ukryty w łuku okrętowym został przemycony do Holandii, następnie przetrzącił się już sam przez Belgię do Francji. W Paryżu – jak mówi – miał wielką szansę zostania bogatym człowiekiem. Wystarczyło zaprzecić się siebie. Otóż wpadł w oko milionerce starszej o siedemnaście lat, ba, mieszkał nawet u niej w pałacu, ale gdy mu zaproponowała kontrakt małżeński, prysnął (pewnie mu się nie podobała, ostatecznie uroda nie jest kwestią ubóstwa czy bogactwa...). Po jakimś czasie dotarł do Szwecji, wcześniej poznawszy w Paryżu Anię, która pracowała w tym samym hotelu. Ściągnął ją do Sztokholmu, mają syna i córkę, zainwestowali w ich wykształcenie (każde z nich zna po pięć języków)...

Choć wystąpił z zakonu, pozostał człowiekiem o dość mocno ugruntowanych poglądach katolickich, konserwatywnych, antyislamskich. Wspólnie z Anią, z którą delektujemy się przyrządzonym przez gospodarza łososiem, podlewany nalewkami i winem, wsiedli przez chwilę na politycznego konika, a wtedy dowiaduję się, że bardzo dobrze zrobiłem, głosując na Dudę, bo to ostatnia chwila, żeby ukrócić korupcyjne praktyki PO i rozprzedaż narodowego majątku...

Znów jesteśmy w Polsce, choć z ulgą stamtąd wyjechałem. Potem rozmawiamy z Anią już tylko o poezji, książkach. Rozmawia mi się z nią tym lepiej, że jest kobietą i nie występuje między nami żadna ukryta rywalizacja. Gdy spotykają się dwaj faceci zawsze w końcu zderzają się jak dwa jelenie rogami – kto lepszy, kto mocniejszy, nie ma na to siły... Odczuwałem to w trakcie dialogu, a właściwie Leszkowego monologu, choć byliśmy wobec siebie pełni rewerencji...

Trzymać się blisko Aniołów

A jeszcze do tego jedna z fanek (bardzo wierząca) pociesza mnie w mejlu, że istnieją ANIOŁY, trzeba w nie wierzyć i tego należy się trzymać – Co prawda jej rady brzmią tak, jakby pochodziły od osoby głęboko „nawiedzonej”, ale akurat teraz nawet mnie „podszytemu diabłem” takie rady są potrzebne...

Witam Panie Józefie,

(...) Mam nadzieję, że aktualnie dobrze się Pan czuje i że stresy Pana „nie zjadają”, bo to najgorsze, co może być... dla organizmu i w ogóle. Mogę tylko poradzić, by odpychać od siebie złe, smutne, stresujące myśli. Oczywiście,

musimy starać się pomóc, działać, na ile się da w każdej takiej sprawie, ale nie wszystko jest w naszej mocy... i nie powinno to pochłaniać, chociaż to ciężkie, całej naszej uwagi, bo to odbiera siły i zdrowie... Na ile się więc da, trzeba by się dystansować, choć wiem, że nie jest to łatwe. Cieszę się, że wziął Pan sobie do serca moje słowa o Pana uśmiechu, proszę go używać jak najczęściej. Bo jest wyjątkowo piękny i tak naturalny i szczerzy... Myślę, że ten uśmiech może zdziałać cuda. Tak w Pana życiu i zdrowiu, jak i Pana Bliskich.

Co do tej anielskości... Jest na to tylko jedna rada, trzymać się zawsze bliżej aniołów. Mam na myśli te prawdziwe. One naprawdę są naszymi przyjaciółmi, podnoszą nas do góry i popychają w dobrą stronę... Chcą naszego dobra. A diabły czy też złe duchy, o czym stosunkowo niedawno bliżej się dowiedziałam, nie tylko nie chcą naszego dobra, ciągną nas w dół, ale w ogóle nienawidzą, nie mogą znieść, żeby człowiek był szczęśliwy, radosny; chcą, żeby był smutny i nieszczęśliwy (potwierdzają to egzorcycyści, którzy z nimi rozmawiają). Stąd te złe duchy podsyłają nam smutne, dołujące myśli, powodujące niezadowolenie z siebie, niskie poczucie własnej wartości, różne kompleksy, frustracje w odniesieniu do różnych sytuacji, podsyłają dołujące myśli, że wszystko będzie źle, że nie ma nadziei... Albo prowokują nas do czegoś złego, a potem prowadzą do poczucia winy i dołowania się. Trzeba się przed tym bronić. Zdarza się też, że ewidentnie uderzają w nas, przez jakieś konkretne sytuacje, konkretnych ludzi. Czujemy czasem, że ktoś ewidentnie pojawia się nieodpowiednim momencie, tylko po to, żeby „wbić nam szpilkę”, trafić w czuły punkt albo zamieszać w czymś jak przysłowiowy „diabeł ogonem”... A wszystko po to, żebyśmy zwątpili w siebie, zwątpili w dobro, zwątpili w to, co wierzyliśmy, w obraną drogę... Temu też nie można się poddawać. Bo to są wszystko ewidentnie celowe działania. I można nauczyć się je rozpoznawać.

Poza tym, myślę, że warto wierzyć w miłość i w dobro, bo one dają nadzieję. I wierzyć w ludzi, bo oni też dają nadzieję. Ale też w Boga, bo on jest źródłem wszystkiego, co dobre w nas i w ludziach, i w świecie wokół nas. Jeśli się w Niego, a raczej Jemu, wierzy, życie staje się lżejsze. Człowiek wie, że jest kochany niezależnie od tego, kim jest i co robi, wie, że liczy się wartość jego serca, a nie jakieś chwilowe powodzenie czy niepowodzenie, sukcesy czy ich brak. Wie też, że jeśli robił coś złego i dręczą go wyrzuty, to zawsze może się zmienić, poprawić i wrócić na dobrą drogę, nigdy na to nie jest za późno. Poza tym, gdy życie go przygniata, zawsze pozostaje mu modlitwa, w której to może przerzucić swoje troski na Pana Boga i już nie zostaje z nimi sam. Wie, że rozstrzygnięcie może być różne, ale też wierzy, że jego prośba została wysłuchana i że już Pan Bóg się tym zajmie na jego korzyść. Nie wie, jak wszystko się potoczy, ale jeśli ufa, to na pewno zostanie wysłuchany, bo daje w ten sposób Panu Bogu pole do działania, nie polegając tylko na sobie. Jak to pisał ksiądz Twardowski, Pan Bóg „czasem prośby nam spełnia, żeby nam zawstydzić”. I mnie tak właśnie czasem zawstydzają.

KONIEC

